

Immanuel Kant

[Imperatyw kategoryczny i rodzaje obowiązków]

Nigdzie w świecie, ani nawet w ogóle poza jego obrębem, niepodobna sobie pomyśleć żadnej rzeczy, którą bez ograniczenia można by uważać za dobrą, oprócz jedynie dobrej woli. Rozsądek, dowcip, władza sądenia i jak tam się jeszcze mogą nazywać talenty umysłu, albo odwaga, stanowczość, stałość w postanowieniu, jako przymioty temperamentu, są bez wątpienia pod niejednym względem dobre i pożądane, mogą jednak stać się także nadzwyczaj złe i szkodliwe, jeżeli nie jest dobrą wola, która ma z tych darów przyrody robić użytek i której właściwa istota zwie się przeto charakterem. Tak samo rzecz się ma z darami szczęścia. Władza, bogactwo, dobre imię, nawet zdrowie i cała pomyślność i zadowolenie ze swego stanu pod nazwą szczęśliwości wytwarzają śmiałość, a przez to często także zuchwalstwo, jeżeli nie ma dobrej woli, która ich wpływ na umysł (*Gemüt*), a stąd także całą zasadę postępowania, prostuje i robi ogólnie celową; nie mówiąc o tym, że rozumnemu i bezstronnemu widzowi nie może nigdy podobać się nawet widok ustawicznego dobrego powodzenia istoty, której nie zdoła żaden rys czystej i dobrej woli. Zdaje się więc, że dobra wola stanowi nawet warunek tego, by [człowiek] był godny szczęścia.

[...]

Każda rzecz w przyrodzie działa podług praw. Tylko istota rozumna posiada władzę działania według przedstawienia praw, tj. według zasad, czyli posiada wolę.

Ponieważ do wyprowadzenia czynów z praw potrzebny jest rozum, przeto wola nie jest niczym innym jak praktycznym rozumem. Jeżeli rozum skłania wolę nieodparcie, to czyny takiej istoty, poznane jako obiektywnie konieczne, są także konieczne subiektywnie, tzn. wola jest władzą wybierania tego tylko, co rozum poznaje niezależnie od skłonności jako praktycznie konieczne, tj. jako dobre. Jeżeli zaś rozum sam przez się skłania wolę w niedostatecznej mierze, jeżeli podlega ona jeszcze subiektywnym warunkom (pewnym pobudkom), które nie zawsze zgadzają się z obiektywnymi; jednym słowem, jeżeli wola sama w sobie nie zgadza się w pełni z rozumem (co u człowieka rzeczywiście zachodzi), to czyny, poznane obiektywnie jako konieczne, są subiektywnie przypadkowe, a skłanianie takiej woli według praw obiektywnych jest przymusem; tj. stosunek praw obiektywnych do woli niezupełnie dobrej przedstawiamy sobie jako skłanianie woli istoty rozumnej wprawdzie przez racje rozumowe, którym jednakże wola ta z natury swej niekoniecznie jest posłuszna.

Przedstawienie obiektywnej zasady, o ile ona wolę zmusza, nazywa się nakazem (rozumu), a formuła nakazu zwie się imperatywem. [...]

Wszelkie imperatywy nakazują albo hipotetycznie albo kategorycznie. W pierwszym wypadku przedstawiają praktyczną konieczność możliwego czynu jako środka prowadzącego do czegoś innego, czego chcemy (albo przynajmniej możemy chcieć). Kategoryczny byłby imperatyw, który przedstawiałby czyn jako sam w sobie, bez względu na inny cel, jako obiektywnie konieczny.

[...]

Nie tyczy się on materii czynu i tego, co z niego ma wynikać, lecz formy i zasady, z której czyn sam wynika, a istotna dobroć tego czynu polega na przekonaniach i usposobieniu, jakkolwiek byłby jego wynik. Ten imperatyw nazwiemy imperatywem moralności.

[...]

Kategoryczny imperatyw jest więc tylko jeden i brzmi następująco: postępuj tylko według takiej maksymy, dzięki której możesz zarazem chcieć, żeby stała się powszechnym prawem. Jeżeli wszystkie imperatywy obowiązku możemy wyprowadzić z tego jedynego imperatywu jako z ich zasady, to chociaż pozostawiamy jeszcze nierozstrzygnięte, czy to, co nazywamy obowiązkiem, nie jest w ogóle pustym pojęciem, to jednak będziemy mogli przynajmniej zaznaczyć, co przez to myślimy i co to pojęcie ma znaczyć.

Ponieważ powszechność prawa, według którego dokonują się skutki, stanowi to, co właściwie w najogólniejszym znaczeniu (ze względu na formę) nazywamy przyrodą, tj. bytem rzeczy, o ile jest on określony według powszechnych praw, przeto ogólny imperatyw obowiązku mógłby także brzmieć następująco: postępuj tak, jak gdyby maksyma twojego postępowania przez wolę twą miała się stać ogólnym prawem przyrody.

Chcę teraz wymienić niektóre obowiązki według zwykłego ich podziału na obowiązki względem siebie i względem drugich, na obowiązki zupełne i niezupełne.

1. Ktoś, komu życie sprzykrzyło się wskutek szeregu nieszczęść, które wzmogły się aż do beznadziejności, posiada jeszcze na tyle rozumu, że może się siebie zapytać, czy odebranie sobie życia nie sprzeciwia się obowiązkowi wobec siebie. Próbuje wtedy, czy też maksyma jego czynu może się stać ogólnym prawem przyrody. Maksyma jego brzmi zaś: Z miłości własnej biorę sobie za zasadę skrócić sobie życie, jeżeli w razie swego dłuższego trwania bardziej grozi ono cierpieniami, niż obiecuje przyjemności. Zachodzi tylko jeszcze pytanie, czy ta zasada miłości własnej może stać się ogólnym prawem przyrody. Ale tutaj widzimy wnet, że przyroda, której prawem byłoby niszczenie samego życia przez to samo uczucie, którego celem jest pobudzanie do popierania życia, popadałaby sama z sobą w

sprzeczność, a więc nie mogłaby istnieć jako przyroda, że zatem owa maksyma żadną miarą nie może być ogólnym prawem przyrody i dlatego całkowicie się sprzeciwia najwyższej zasadzie wszelkiego obowiązku.

2. Kogoś innego bieda zmusza do pożyczania pieniędzy. Wie on dobrze, że nie będzie mógł ich oddać, widzi jednak także, że nikt mu nie udzieli pożyczki, jeżeli solennie nie przyrzeknie, iż w oznaczonym czasie ją zwróci. Ma ochotę dać takie przyrzeczenie, ma jednak jeszcze tyle sumienia, że pyta się siebie: czy nie jest niedozwolone i czy nie sprzeciwia się obowiązkowi w taki sposób wydobywać się z biedy? Dajmy na to, że postanowi jednak tak [postąpić]; wówczas jego maksyma czynu brzmiałaby następująco: jeżeli uważam, że jestem w potrzebie, to chcę pożyczyć pieniędzy i obiecać oddać je, chociaż wiem, że to nigdy nie nastąpi. Ta zasada miłości własnej lub własnej korzyści da się może dobrze pogodzić z całym moim przyszłym powodzeniem, jednakże nasuwa się pytanie, czy takie postępowanie jest słuszne. Zamieniam więc wymaganie miłości własnej na ogólne prawo i stawiam pytanie w ten sposób: jak miałyby się rzecz wtedy, gdyby moja maksyma stała się ogólnym prawem? Wówczas widzę zaraz, że nie może ona mieć znaczenia ogólnego prawa przyrody i sama z sobą się zgadzać, lecz musi koniecznie sobie zaprzeczać. Albowiem ogólność prawa, że każdy, czując się w biedzie, może obiecywać, co mu przyjdzie na myśl, w zamiarze niedotrzymania obietnicy, uniemożliwiałaby samo przyrzeczenie i cel, w jakim je dajemy, ponieważ nikt nie wierzyłby, że mu coś [naprawdę] obiecano, lecz śmiałyby się z wszystkich takich oświadczeń jako z pustych zmyśleń.

3. Ktoś trzeci odkrywa w sobie talent, który przy pewnym wykształceniu mógłby go zrobić człowiekiem pod wieloma względami użytecznym. Znajduje się jednak w dogodnych warunkach i woli raczej oddawać się przyjemnościom niż starać się o rozszerzenie i poprawienie swych szczęśliwych zdolności przyrodzonych. Jeszcze pyta się jednak, czy jego maksyma zaniedbywania darów przyrodzonych, prócz swej zgodności z jego pociągiem do uciech, zgadza się także z tym, co nazywamy obowiązkiem. Wtedy przekonywa się, że przyroda mogłaby wprawdzie przy takim ogólnym prawie zawsze jeszcze istnieć, chociażby człowiek (tak jak mieszkańcy wysp Morza Południowego) pozwolił rdzewieć swemu talentowi i starał się życie swe obrócić tylko na próżniactwo, rozkosz, rozmnażanie się, słowem na uciechy; atoli nie może on żadną miarą chcieć, żeby stało się to ogólnym prawem przyrody, albo żeby zostało wszczepione w nas jako takie przez przyrodzony instynkt. Albowiem jako rozumna istota chce on koniecznie, żeby się w nim rozwinęły wszystkie władze, ponieważ są mu one przecież użyteczne i dane do rozmaitych możliwych celów.

4. Na koniec ktoś czwarty, komu dobrze się wiedzie, widząc, że inni (którym mógłby przecież pomóc) muszą walczyć z wielkimi trudnościami, myśli sobie: co mnie to obchodzi? niech każdy będzie tak szczęśliwy, jak Bóg zechce, albo jak sam potrafi; niczego mu nie odbiorę ani nawet niczego nie będę mu zazdrościł, nie mam tylko żadnej chęci przyczynić się do jego powodzenia lub wspomagać go w biedzie! W istocie, gdyby taki sposób myślenia stał się ogólnym prawem przyrody, mógłby ród ludzki bardzo dobrze istnieć, a nawet bez wątplenia jeszcze lepiej, aniżeli wtedy, kiedy każdy plecie o współczuciu i życzliwości, a nawet przy okazji usiłuje pełnić coś podobnego, natomiast, gdzie tylko może, oszukuje, prawa ludzi sprzedaje lub je w inny jakiś sposób narusza. Atoli chociaż jest możliwe, że według owej maksymy ogólne prawo przyrody mogłoby istnieć, to jednak nie jest możliwe chcieć, żeby taka zasada posiadała wszędzie znaczenie prawa przyrody. Albowiem wola postanawiająca to sprzeciwiałaby się sama sobie, ponieważ może się przecież zdarzyć niejeden taki wypadek, w którym człowiek ten potrzebuje miłości i współczucia drugich, a w którym przez takie prawo, wynikające z własnej jego woli, pozbawiłby sam siebie wszelkiej nadziei pomocy, której sobie życzy.

Oto niektóre spomiędzy wielu rzeczywistych, a przynajmniej przez nas za takie uważanych obowiązków, których wyprowadzenie z jednej jedynej wymienionej zasady narzuca się jasno. Trzeba móc chcieć, żeby maksyma naszego czynu stała się prawem ogólnym: oto kanon normujący moralną ocenę czynu w ogóle. Niektóre czyny są tego rodzaju, że maksyma ich nie da się bez sprzeczności nawet pomyśleć jako ogólne prawo przyrody; cóż dopiero, żebyśmy mogli jeszcze chcieć, iżby ono miało się stać takim [*scil.* ogólnym prawem]. Przy innych [czynach] nie znajdujemy wprowadzić tej wewnętrznej niemożliwości, ale niemożliwą rzeczą jest chcieć, żeby maksyma ich była wyniesiona do ogólności prawa przyrody, ponieważ wola taka zaprzeczałaby sama w sobie.

(Immanuel Kant, *Uzasadnienie metafizyki moralności*, tłum. M. Wartenberg, fragmenty)

INSPIRACJE FILOZOFICZNE W LITERATURZE

Fiodor Dostojewski

Biesy (fragment)

Kiriłłow nagle zamilkł i znowu zaczął chodzić po pokoju.

– Nie będę odkładał. Teraz właśnie chcę się zabić: wszyscy są podli!

– To racja! Oczywiście, wszyscy są podli, i ponieważ porządny człowiek nie może się czuć dobrze na tej ziemi, więc...

– Głupcze! Sam jestem równie podły jak ty, jak wszyscy. Wcale nie jestem porządny. Porządnego człowieka jeszcze nie było.

– Domyślił się wreszcie! Czyż pan, panie Kiriłłow, przy pańskim rozumie, nie wiedział dotychczas, że wszyscy są jednakowi, nie ma lepszych i gorszych, a tylko mądrzejsi i głębsi? A jeżeli wszyscy są podli (co zresztą jest tylko frazesem), to świadczyłoby, że nie powinno być ludzi niepodłych.

– A! Czy ty naprawdę nie kpisz? – powtórzył Kiriłłow z pewnym zdziwieniem.

– Mówisz tak gorąco i po prostu... Czyż tacy ludzie jak ty mogą mieć przekonania?

– Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego pan chce odebrać sobie życie! Wiem tylko, że z głębokiego przekonania, z najgłębszego... Jeżeli jednak czuje pan potrzebę, że tak powiem, wylania uczuć, to służę panu... Trzeba jednak liczyć się z czasem...

– Która godzina?

– Oho, już druga – powiedział Piotr Stiepanowicz patrząc na zegarek. Zapalił papierosa.

„Zdaje się – pomyślał – że można się jeszcze z nim dogadać”.

– Nie mam o czym z tobą mówić – powiedział Kiriłłow.

– Pamiętaj, że było tam coś o Bogu... Już mi pan kiedyś to tłumaczył. Nawet dwa razy. Jeżeli się pan zastrzeli, to stanie się Bogiem? Zdaje się, że tak?

– Tak, stanę się Bogiem.

Piotr Stiepanowicz nie uśmiechnął się wcale. Czekał. Kiriłłow spojrzał na niego przenikliwie.

– Pan jest szarlatanem, intrygantem politycznym. Chce pan teraz skierować mnie ku filozofii, pogodzić się ze mną na tym tle, rozwiązać mój gniew, a wtedy wyprosić ode mnie oświadczenie na piśmie, że zabiłem Szatowa.

– Dobrze! – odpowiedział Piotr Stiepanowicz z naturalną prostotą – niech i tak będzie. Lecz czy panu w ostatniej chwili nie wszystko jedno? O co właściwie my się kłócimy, niech pan powie? Pan jest takim człowiekiem, a ja takim. O cóż chodzi? W dodatku obaj jesteśmy...

– Podli.

– Może i tak. Wie pan przecie, że to tylko frazesy.

– Przez całe życie chodziło mi o to, aby to nie był frazes. Po to tylko żyłem. I teraz chcę, aby nie było pustych słów.

– Cóż! Każdy urządza się, jak mu wygodnie. Ryba na przykład... Każdy szuka własnego komfortu, i tyle. To wszystko rzeczy dawno znane.

– Powiedziałeś: komfortu?

– Mniejsza o słowa.

– Nie, to dobrze powiedziałeś. Niech będzie komfort. Bóg jest niezbędny i dlatego musi istnieć.

– Świetnie!

– Lecz wiem, że Boga nie ma i być nie może.

– To słuszniejsze.

– Czy nie rozumiesz, że człowiek żyjąc nie może pogodzić tych dwu myśli?

– Więc co? Ma się zastrzelić?

– Czy nie rozumiesz, że to wystarcza, aby się zastrzelić? Czy nie rozumiesz, że może znaleźć się człowiek, jeden na tysiąc waszych milionów, który nie zechce i nie zniesie tego?!

– Rozumiem jedynie, że pan najwidoczniej się waha... To bardzo źle.

Kiriłłow, chodząc po pokoju, nie zwrócił uwagi na słowa Piotra Stiepanowicza. Snuł dalej swoje myśli:

– Stawrogina także zjadła idea...

– Co? – zainteresował się Wierchowieński. – Jaka idea? Czy mówił o tym z panem?

– Nie, domyśliłem się sam. Jeżeli Stawrogin wierzy, to sam nie wierzy, że wierzy. A jeżeli nie wierzy, to także sam nie wierzy, że nie wierzy.

– No, Stawrogina trapią i inne myśli, może trochę mądrzejsze... – gderliwie odezwał się Piotr Stiepanowicz. Niepokoił go kierunek rozmowy, niepokoił go także błąd Kiriłłowa.

„Do diabła, nie zastrzelił się – myślał – zawsze przeczuwałem. To tylko spekulacje mózgowe i wykręty. Nic więcej. Co za mali ludzie!”

Raptem Kiriłłow zmienił ton.

– Jesteś ostatnim człowiekiem, z którym rozmawiam. Nie chciałbym źle rozstawać się z tobą.

Piotr Stiepanowicz nie odpowiadał na razie. „Co to takiego? Co to znaczy, u diabła?” – pomyślał znowu.

– Niech mi pan wierzy, panie Kiryłow, że nigdy nie miałem nic przeciwko panu osobiście i zawsze...

– Jesteś podły i fałszywy. Ale ja nie jestem lepszy. I ja się zastrzelę, a ty zostaniesz przy życiu.

– Chce pan powiedzieć, że jestem taki nikczemny, że zechcę zostać przy życiu?

Nie wiedział jeszcze sam, czy korzystnie jest teraz podtrzymywać tego rodzaju rozmowę. Postanowił „poddąć się biegowi wydarzeń”. Lecz ton wyższości i nie maskowanej jak zwykle pogardy, z jaką traktował go Kiryłow, drażnił go zawsze, teraz zaś więcej niż kiedykolwiek. Może dlatego, że Kiryłow, który miał umrzeć za godzinę (Piotr Stiepanowicz nie zapomniał o tym), wydawał mu się już czymś prawie nie istniejącym, jakąś pólistotą, która nie ma prawa do zarozumiałości.

– To są chyba przechwałki, że pan się zastrzeli. Kiryłow nie dosłyszał nawet tej uwagi.

– Dziwiło mnie zawsze, że wszyscy obstają przy życiu.

– Hm! W tym tkwi jakaś myśl, lecz...

– Powtarzasz za mną jak mała, byle mnie zdobyć. Milcz, nic nie rozumiesz. Jeżeli nie ma Boga, to ja jestem bogiem.

– Nigdy właśnie nie mogłem zrozumieć tego pańskiego punktu widzenia: dlaczego pan jest bogiem?

– Jeżeli Bóg jest, to cała wola należy do Niego i wyjść poza tę wolę nie mogę. Jeżeli Go nie ma, to wola jest moja i mam obowiązek ją wypełnić.

– Wypełnić? Dlaczego?

– Bo cała wola jest moja. Czyż nikt na ziemi, skończywszy z Bogiem i uwierzywszy w wolność własnej woli, nie odważy się okazać jej w najistotniejszej sprawie? To tak, jak gdyby nędzarz otrzymał spadek i przestraszył się, i bał się podejść do worka, uważając, że brak mu sił, by zawładnąć spadkiem. Pragnę okazać wolną wolę.

Choćbym tylko był jeden, ale uczynię to.

– Proszę bardzo.

– Muszę się zastrzelić, bo najwyższe osiągnięcie mojej wolnej woli to zabić samego siebie.

– Ależ nie tylko pan to robi: tylu jest samobójców.

– Ci mają powody. A bez żadnego powodu, jedynie dla spełnienia własnej wolnej woli – tylko ja.

Piotr Stiepanowicz znowu pomyślał: „Nie zastrzeli się”.

– Wie pan – powiedział rozdrażniony – na pańskim miejscu, chcąc spełnić akt wolnej woli, zabiłbym kogo innego, nie siebie. Mógłby pan stać się użyteczny. Wskazałbym panu, kogo należy zabić, o ile pan nie stchórzy. Jeżeli tak, mógłby pan nawet nie odbierać sobie dziś życia. Moglibyśmy dojść do porozumienia.

– Zabicie kogo innego byłoby najniższą formą ziszczenia mojej woli. Całego ciebie widzę w tej propozycji. Nie jestem tobą: szukam najwyższej formy i zabiję siebie.

„Doszedł wreszcie do tego” – złowrogo mruknął Piotr Stiepanowicz.

Kiriłłow wciąż chodził po pokoju.

– Mam obowiązek złożyć świadectwo niewierze. Nie ma dla mnie wyższej idei jak to, że Boga nie ma. Opieram się na całej historii ludzkości. Człowiek nic innego nie robił, tylko wciąż wymyślał Boga, aby żyć nie pozbawiając się życia. W tym są zawarte dotychczasowe dzieje ludzkości. Ja pierwszy w historii świata nie chciałem wymyślić Boga. Niech się wszyscy dowiedzą o tym raz na zawsze.

„Nie zastrzeli się” – myślał z trwogą Piotr Stiepanowicz.

– Kto ma się o tym dowiedzieć? – drażnił Kiriłłowa. – Tu nie ma nikogo oprócz nas dwóch. Może Liputin ma się dowiedzieć?

– Wszyscy powinni się dowiedzieć, wszyscy się dowiedzą. Nie ma przecież nic ukrytego, co by nieśmiało być wyjawione. Tak powiedział On.

Z gorączkowym zachwytem wskazał obraz Zbawiciela, przed którym paliła się lampka. Piotr Stiepanowicz zirytował się już do reszty.

– Więc w Niego nie przestał pan wierzyć? Nawet lampka się pali. Może to „na wszelki wypadek”? Kiriłłow nie odpowiedział.

– Wie pan? Mam wrażenie, że wierzy pan głębiej od niejednego popa.

– W kogo? W Niego? Posłuchaj! – zawołał Kiriłłow zatrzymując się i wpatrując w przestrzeń fanatycznym, obłąkanym wzrokiem. – Posłuchaj wielkiej myśli. Był jeden taki dzień, że pośrodku ziemi stały trzy krzyże. A jeden z ukrzyżowanych tak wierzył, że rzekł do drugiego: „Dziś będziesz ze mną w raju”. Dzień ów się skończył, umarli obaj, odeszli i nie znaleźli ani raju, ani zmartwychwstania. Nie wypełniło się to, co było powiedziane. Słuchaj! Ów człowiek był największy na świecie. Stwarzał to, dla czego ludzie mieli żyć. Cała nasza planeta, ze wszystkim, co na niej jest, bez tego człowieka byłaby czymś obłąkańczym. Ani

przedtem, ani potem nie było nikogo, kto by mu dorównał – nigdy, aż to wygląda na cud. W tym jest cud, że nigdy nie było i nie będzie równego Jemu. Jeśli zaś tak, jeśli prawa przyrody nie oszczędziły nawet i Jego, jeśli nie pożałowały nawet własnego cudu, a zmusiły i Jego, by żył wśród kłamstwa i umarł z powodu kłamstwa – widocznie cała nasza planeta jest kłamstwem, na kłamstwie się opiera i na głupim szyderstwie. To znaczy, że prawa naszej planety są kłamstwem i szatańską farsą. Po cóż więc żyć? Powiedz, jeżeli jesteś człowiekiem.

– To zupełnie inne postawienie kwestii. Mam wrażenie, że płacze pan dwie odrębne przyczyny. A to nie wzbudza zaufania. Lecz niech pan pozwoli. A jeżeli pan jest bogiem? A jeżeli skończyło się kłamstwo i domyślił się pan, że całe kłamstwo pochodziło od dawnego Boga?

– Zrozumiałeś wreszcie! – zawołał Kiryłow z zachwytem. – A więc można było zrozumieć, jeżeli rozumiał nawet taki człowiek jak ty! Czy rozumiesz teraz, że zbawienie wszystkich jest w zrozumieniu tej myśli? Kto ją wyjaśni? Ja! Nie rozumiem, jak mogli dotychczas ateści wiedzieć, że nie ma Boga i żyć dalej! Uświadomić sobie, że nie ma Boga, i nie uświadomić sobie jednocześnie, że się samemu jest bogiem – to nonsens. Inaczej bowiem trzeba koniecznie zabić siebie. Gdy to już będzie uświadomione, samobójstwa staną się niepotrzebne, gdyż zacznie się życie w największej chwale. Lecz ten jeden, ten pierwszy, musi koniecznie zabić siebie. Któż bowiem zacznie? Kto złoży dowód? To ja właśnie zabiję się, zabiję koniecznie, aby zacząć i udowodnić. Jestem tymczasem bogiem pomimo woli i jestem nieszczęśliwy, gdyż mam obowiązek okazać wolną wolę. Wszyscy są nieszczęśliwi dlatego, że boją się okazać wolną wolę. Człowiek dlatego był dotychczas tak biedny, tak nieszczęśliwy, że bał się okazać wolę jako rzecz najważniejszą; okazywał ją w sprawach nieważnych, jak sztubak. Jestem bardzo nieszczęśliwy, gdyż bardzo się boję. Strach jest klątwą człowieka... Lecz okażę moją wolę. Muszę uwierzyć, że nie wierzę. Zacznę i skończę, i otworzę wrota. I zbawię. To jedno zbawi wszystkich ludzi i w przyszłym pokoleniu przerodzi ich fizycznie. Bo w dzisiejszym kształcie fizycznym, o ile się przekonałem, człowiek nie może żadną miarą obejść się bez dawnego Boga. Trzy lata szukałem atrybutu mojej boskości i znalazłem. Jest nim – wolna wola! Bo dzięki niej mogę w najważniejszej rzeczy zaprzeczyć pokorze i wykazać nową, straszną moją wolność. Ona jest straszna. Zabijam siebie, aby się zaprzeć pokory i wykazać straszną moją wolność.

(Fiodor Dostojewski, *Biesy*, tłum. T. Zagórski i Z. Podgórzec, w: *Dzieła wybrane*, t. III, Warszawa 1984, s. 607–

Wisława Szymborska

Szkielet jaszczura

Kochani Bracia,
wiedzimy tutaj przykład złych proporcji:
oto szkielet jaszczura piętrzy się przed nami –

Drodzy Przyjaciele,
na lewo ogon w jedną nieskończoność,
na prawo szyja w drugą –

Szanowni Towarzysze,
pośrodku cztery łapy, co ugrzęzły w mule
pod pagórem tułowia –

Łaskawi Obywatele,
przyroda się nie myli, ale lubi żarty:
proszę zwrócić uwagę na tę śmieszna główkę –

Panie, Panowie,
taka główka niczego nie mogła przewidzieć
i dlatego jest główką wymarłego gada –

Czcigodni Zgromadzeni,
za mało mózgu, za duży apetyt,
więcej głupiego snu niż mądrej trwogi –

Dostojni Goście,
pod tym względem jesteśmy w dużo lepszej formie,
życie jest piękne i ziemia jest nasza –

Wyborni Delegaci,
Niebo gwiazdziste nad myślącą trzcina,
Prawo moralne w niej –

Prześwietna Komisjo,
udało się raz
i może tylko pod jednym słońcem –

Naczelna Rado,
jakie zręczne ręce,
jakie wymowne usta,
ile głowy na karku –

Najwyższa Instancjo,
cóż za odpowiedzialność na miejsce ogona –

(Z tomu *Wszelki wypadek*; Wisława Szymborska, *Wiersze wybrane*, Kraków 2000, s. 176–177)